

Nawka

Jest taka piosenka, której fragment brzmi: „Wolałbym cierpieć, niż nie czuć nic”. Coś takiego mógł napisać jedynie idiota, dla którego cierpienie jest abstrakcją, poetyckim słowem mającym pasować w wierszu. Ci, którzy doświadczyli prawdziwego bólu, zgodzą się ze mną: nie czuć nic to dar od niebios albo od zaświatów.

Leciałam jak wiatr, płynąc przez mgłę, która leniwie unosiła się nad moczarami. W dziwny sposób przypominało to kąpiel z bąbelkami. Moja wyobraźnia malowała nawet delikatne rumiankowe perfumy na tle ziemistego zapachu torfu. Ale podczas gdy kąpiel z rumiankową pianką była przyjemnie relaksująca, obecne doświadczenie miało inny charakter.

Jeden wybór i od razu kolejny. Uważaj na głęboką wodę – jeśli on zacznie się topić zbyt wcześnie, wyrwie się z transu i ucieknie. Lepiej wrócić na solidny grunt. Zakręt. Cholera, są tu kamienie graniczne! Odwrót, głębiej w stronę bagien. Tam jest! Zabłąkany Korzeń. Jeden krok dalej i on będzie mój.

Przeleciałam nad kilkoma torfowymi kałużami i zawisłam nad korzeniem sterczącym kilka centymetrów nad ziemią niczym macka gigantycznej ośmiornicy. Dyszenie i pluskanie oznajmiły przybycie anczutka. Zatrzymał się w niewielkiej odległości i podrapał po gołej głowie długimi, zakrzywionymi palcami.

– Za bardzo się spieszysz – powiedział beznamiętnie anczutek. – Zdecydowanie. Gdybym był człowiekiem, pewnie już dawno bym cię wyprowadził w pole albo złamałbym nogę na jakimś wyboju.

Zmieniłam się w ludzką postać.

– Gdybyś złamał nogę, wciąż mogłabym cię załaskotać na śmierć. – Wzruszyłam ramionami z poważną miną. Ten przesąd zawsze fascynował Korę i mnie. Strategicznie zignorowałam jego pierwszą uwagę. Wydawało mi się, że tym razem

leciałam wolniej, ale trudno było to stwierdzić bez rytmu oddechu i ruchu nóg, które mnie zazwyczaj ograniczały.

Anczutek zastanowił się nad tym chwilę, ponownie drapiąc się po głowie i poruszając delikatnie jednym skrzydłem.

– Nie wiem, czy to by zadziało. Złamana noga podobno boli. Ludzie raczej jęczą z bólu, niż się śmieją. Nie sądzę, by nawet łaskotanie mogło temu zaradzić.

Przygryzłam wargę, by nie wybuchnąć śmiechem.

– Dobrze, Liczi, następnym razem polecę wolniej.

Nazywał się Liczikar, ale ja mówiłam na niego Liczi. Nie uważał tego za zabawne, prawdopodobnie dlatego, że żaden anczutek nie miał poczucia humoru, ale może też dlatego, że nie wiedział, czym jest liczi, i że trochę przypominał ten owoc – szorstki i brzydki na zewnątrz, ale słodki w środku. Zawsze było mi przykro, gdy tylko ja byłam w stanie docenić błyskotliwość własnego dowcipu.

Anczutek jeszcze bardziej wygiął swoje i tak już zgarbione plecy, co było jego wersją łuku, i zgrabnie złożył karłowate skrzydła przypominające te u nietoperza.

Z mgły wyłoniło się kolejne światło. Niebieskawy płomień poleciał w naszą stronę i przekształcił się w wysoką kobietę o łagodnej, owalnej twarzy i włosach w kolorze granatowej czerni, które mieli wszyscy w mojej nowej rodzinie. Była to Swietłana, moja mentorka, której cierpliwe wskazówki sprawiły, że o wiele łatwiej było mi przystosować się do wszystkich zmian, przez które przechodziłam w ciągu ostatnich kilku tygodni.

– W pewnym momencie prawie przekroczyłaś kamienie graniczne – powiedziała aksamitnym głosem, wskazując miejsce, w którym popełniłam błąd.

Nawet nie musiała tego robić, sama to zauważyłam.

– Liczikar ma rację. Latasz zbyt nierozważnie.

– Wiem, wiem – powiedziałam, zwieszając głowę. Brak rozwagi był motywem przewodnim mojego życia i niestety wyglądało na to, że nie pozbyłam się tej cechy nawet po śmierci.

– W porządku, następnym razem pójdzie ci lepiej. – Uśmiechnęła się uprzejmie.

– Mam taką nadzieję, bo inaczej pospadają mi buty. – Tak naprawdę żartowałam. Błędnie nie noszą butów. Nie sądzę, by ktokolwiek wynalazł obuwie pasujące do naszych żabich stóp.

Liczy nie poruszył nawet włoskiem na wystającej brodzie, ale Swietłana parsknęła śmiechem.

– Przejdźmy się – zaproponowała.

Odesłaliśmy anczutka i ruszyliśmy dalej pieszo. Po chwili usiadaliśmy na wysokich trawiastych poduszkach, niedaleko kamieni granicznych, a Swietłana wzięła mnie za rękę.

– Jesteś rozkojarzona podczas treningów. Chciałabyś mi powiedzieć, co ci zaprzęta myśli?

Doceniałam sposób, w jaki pytała, pozwoliła mi wybrać, czy się zwierzyć, czy zachować swoje zmartwienia dla siebie. Dla kogoś takiego jak ja, kto miał głęboko zakorzenione przekonanie, że z własnymi problemami należy radzić sobie samemu i nigdy w życiu nie obciążać nimi innych, początkowo było to bardzo trudne. Teraz starałam się już nie odrzucać jej pomocnej dłoni.

– Po prostu czuję, że wszystko przychodzi mi z trudem – przyznałam.

Uśmiechnęła się.

– Jeśli się nie mylę, powiedziałaś, że jedną z rzeczy, które nie odpowiadały ci za życia, była ciągła presja, by osiągać cele i rywalizować – wspomniała mimochodem.

Tak, była to jedna z tych rzeczy. Jedna z wielu rzeczy.

– Teraz nikt na ciebie nie naciska. Dobrze sobie radzisz i masz mnóstwo czasu. Siedem lat. Z kim rywalizujesz? Mam nadzieję, że nie z Korą. Ona ma nad tobą sześćioletnią przewagę.

– Chyba z samą sobą – odpowiedziałam, zmuszając się do uśmiechu, by ukryć fakt, że miałam tak zwieszoną głowę jak niezapominajki nad rzeką.

Swietłana nie dała się na to nabrać.

– Wiem, dlaczego chcesz jak najszybciej zakończyć transformację, ale nie sprawisz, że trawa będzie rosła szybciej, jeśli za nią pociągniesz. Więc na razie skup się na tym, by osiąść nasze umiejętności i nie zapominaj o cierpliwości.

Udało mi się tylko westchnąć z rezygnacją. Ucz się i czekaj, świetnie. Ale co innego można było zrobić?

Siedem lat.

Początkowo wydawało mi się to niepotrzebnie długim czasem. Im szybciej zakończę transformację, tym szybciej stanę się pełnoprawną błędnicą, więc po co czekać? Wkrótce jednak zaczął mnie ogarniać niepokój. Musiałam dostarczyć na moczary ludzką ofiarę, by dokończyć proces przemiany, a jak się okazało, samotni podróżnicy rzadko stawali u naszych drzwi. Kora była dowodem na to, że nawet sześć lat może nie wystarczyć. *A co, jeśli mi się nie uda? A jeśli będę musiała wrócić do żywych albo znaleźć się w Mrocznej Nawii wśród Potępionych?* Nie byłam pewna, co byłoby gorsze.

– Noc się kończy. – Swietłana wskazała na wschód, gdzie nad horyzontem jaśniała smuga zwiastująca przybycie syna Swaroga. – Powinnyśmy już wracać do domu.

Natura wokół nas brzęczała, ćwierkała i rechotała w kakofonii, a ptaki rozpoczynały swoje sonaty z pobliskich drzew. Ciemność powoli zamieniała się w świt. Zaczynał się nowy, jakże niepożądany dzień.

Swietłana wyciągnęła przed siebie nogi i już miała wstać, ale wtedy zamarła. Wyczuła obecność obcego, zanim znalazł się w odległości dziesięciu metrów od kamieni granicznych i na długo przede mną. Objęła mnie ramieniem i okryła nas obie nieprzeniknioną zasłoną mgły.

Oto nadchodził i szedł prosto do krawędzi moczaru. Moje serce natychmiast przyspieszyło i nie mogłam uwierzyć w swoje szczęście. Wyglądał młodo, na jakieś dwadzieścia pięć lat, i był pierwszą żywą osobą, którą napotkałam od czasu przybycia do Bagien Nemoja. Było w nim coś, co jednocześnie mnie odpychało i przyciągało. Kiedyś mogłabym go uznać za atrakcyjnego, tak jak roszcinka jest atrakcyjna dla muchy, która wkrótce stanie się jej obiadem. Miał kręcone jasnobrązowe włosy i piwne oczy, które

łagodniły wyraz jego twarzy i tworzyły iluzję dziecięcej naiwności w silnym ciele dorosłego mężczyzny.

W przeszłości zarumieniłabym się i po cichu zapragnęłabym, aby uśmiechnął się do mnie lub przynajmniej na mnie spojrzeć, tak abym mogła żywić fałszywe nadzieje i doczekać się złamanego serca. Dziś jednak sytuacja była odwrotna. To on był moją ofiarą. Był moim wybawieniem, kluczem do mojej przyszłości.

– Nie spiesz się – szepnęła Swietłana, dając mi znak, bym ruszyła w jego kierunku. Odpowiedziałam szerokim uśmiechem.

Nie będę się spieszyła. Zrobię to powoli i spokojnie. Wiedziałam, że będę się tym delectować.

W milczeniu odsunęłam się i usiadłam na ziemi, nieco dalej. W międzyczasie zatrzymał się przy kamieniach granicznych ukrytych wśród kwitnących nagietków. Nie widział ich, ale odstraszyła go gęsta mgła za nimi. Nie wiedziałam, dlaczego stał tam z rękami w kieszeniach, wpatrując się w białą pustkę, jakby jego umysł był równie zamglony, i ani trochę mnie to nie obchodziło.

Podstawową zasadą, której musiałam przestrzegać, było „uzyskanie zgody ofiary”. Błędnice są związane prawem wolnej woli. Nie mogą tak po prostu na kogoś skoczyć i pozbawić go życia. Wszystko zaczyna się od zwabienia, oczarowania i uwiedzenia. Ofiara musi dobrowolnie wpaść w ich sidła. Dopiero gdy wejdzie wystarczająco głęboko, przekroczy Zabłąkany Korzeń i w końcu jest ich, mogą zakończyć jej życie.

Wybuchłam płaczem. Płacz na zawołanie był pierwszą rzeczą, której się nauczyłam. Był najłatwiejszym sposobem na zwabienie nieszczęśnika na bagna: żadnej magii czy transformacji, jedynie prawdziwy, rozdzierający serce płacz.

Zauważyłam, że stał się czujny. Utrzymałam go na krawędzi, po czym lekko uniosłam zasłonę mgły.